

KERRY GREENWOOD



ZAGADKI
KRYMINALNE
PANNY
FISHER

KOKAINOWY BLUES

Rozdział pierwszy

*Minie jak przepych morskiej zieleni
...na swej bezpowrotnie utraconej drodze.*

Marna nagość wyrusza w drogę — Wallace Stevens

Szyba w dużym oknie weneckim rozprysła się w drobny mak. Goście podnieśli krzyk. Przez ogólny zgiełk przebił się przenikliwy głos żony ambasadora, madame St Clair.

— *Ciel! Mes bijoux!*

Phryne Fisher wstała spokojnie i zaczęła po omacku szukać zapalniczki. Jak do tej pory wieczór był nużący. W wyniku żmudnych przygotowań do tego, co miało być wydarzeniem towarzyskim roku, kolacja okazała się wprawdzie kulinarnym majstersztykiem, nie można było jednak powiedzieć tego o rozmowie. Phryne posadzono między emerytowanym pułkownikiem po służbie w Indiach i amatorskim graczem w krykieta. Pułkownik ograniczył się do kilku stosownych uwag dotyczących jedzenia, ale Bobby potrafił recytować z pamięci wyniki wszystkich swoich meczów na poziomie hrabstwa z ostatnich dwóch lat — i robił to. W pewnym momencie zgaśło światło i roztrzaskała się

szyba w oknie. Wszystko jest lepsze od almanachu wyników meczów krykietowych — pomyślała Phryne i w tym momencie znalazła zapalniczkę.

Scena, jaka ukazała się w świetle migotliwego płomienia, przedstawiała jeden wielki chaos: młode kobiety, które zwykle piszczą, piszczały. Ojciec Phryne wrzeszczał na matkę. W tym też nie było nic niezwykłego. Kilku dżentelmenów zapaliło zapalki, a jeden z nich pociągnął za dzwonek. Phryne przepchnęła się do drzwi i wymknęła do holu, gdzie zauważyła otwartą skrzynkę z bezpiecznikami. Opuściła główny wyłącznik i powódź światła zalała wnętrze, przywracając poczucie rzeczywistości wszystkim obecnym, poza tymi najbardziej nasączonymi ginem. Madame St Clair, dramatycznym gestem trzymająca się za dekolt, stwierdziła, że zniknął z niego brylantowy naszyjnik, znany z tego, że jakoby zawierał klejnoty z kolii carycy. Jej krzyk przebił się przez dotychczasowy zgiełk.

— Ratunku! Rabują! — wrzasnął Bobby, który dziwnie szybko ocenił sytuację.

Phryne opuściła gwarne wnętrze i wyszła na zewnątrz obejrzeć miejsce przed wybitym oknem. Z zewnątrz słyszała, jak Bobby mówi naiwnie:

— Musiał wybić szybę, wskoczyć do środka i porwać łup. Co za bezczelność!

Phryne zagryzła zęby. Natrafiła nogą na jakąś kulę. Była to kula do krykieta. Pod stopami czuła chrzęst tłuczonego szkła — większość odłamków wypadła na zewnątrz. Zatrzymała przechodzącego pomocnika ogrodnika i kazała mu przynieść drabinę.

Po powrocie na salę odciągnęła na bok ojca.

— Nie zawracaj mi głowy, dziecko. Musiałbym przeszukać wszystkich obecnych. Co sobie pomyśli książę?

— Tato, wyciągnij tylko z towarzystwa młodego Bobby'ego, to ci oszczędzę wiele kłopotu — szepnęła mu do ucha.

Ojciec, który i tak normalnie miał rumieńce, teraz poczerwieniał jak burak.

— Co chcesz przez to powiedzieć? To dobra stara rodzina, której korzenie sięgają czasów Wilhelma Zdobywcy.

— Nie bądź naiwny, tato. Mówię ci, że to jego sprawka, i jeśli go nie weźmiesz na bok i nie załatwisz tego po cichu, książę poczuje się dotknięty. Weź Bobby'ego i tego beznadziejnego pułkownika, który może pełnić rolę świadka.

Ojciec zrobił, jak mu kazała córka, i już po chwili dwaj starsi mężczyźni weszli do pokoju karcianego, prowadząc między sobą młodego człowieka.

— O co właściwie chodzi? — dopytywał się Bobby.

Phryne przygwoździła go wzrokiem.

— To ty wybiłeś okno, Bobby, i ukradłeś naszyjnik. Przyznasz się sam, czy mam ci powiedzieć, jak to zrobiłeś?

— Nie wiem, o czym mówisz — próbował blefować, ale na widok kuli do krykieta, którą mu pokazała, zbladł.

— Znalazłam to na zewnątrz. Tak samo większość szkła. Wyłączyłeś bezpiecznik i rzuciłeś kulą w okno, żeby odwrócić uwagę gości, a następnie ukradłeś

naszyjnik z rzeczywiście przesadnie udekorowanej szyi madame St Clair.

Na twarzy młodego mężczyzny pojawił się uśmiech. Bobby był wysoki, miał kręcone włosy o kasztanowym odcieniu i głęboko osadzone piwne oczy, przez co trochę przypominał krowę rasy Jersey. Miał też wiele wdzięku, który starał się w maksymalnym stopniu wykorzystywać, ale Phryne pozostała całkowicie na niego odporna. Bobby rozłożył ręce.

— Skoro ukradłem naszyjnik, to muszę go przy sobie mieć. Proszę mnie przeszukać — zachęcał. — Nie miałbym czasu go ukryć.

— Nie przejmuj się — ucieła Phryne. — Chodź na salę. — Mężczyźni posłusznie ruszyli za nią. Pomocnik ogrodnika ustawił drabinę. Phryne odważnie na nią weszła (przy okazji demonstrując — jak jej później uświadomiła matka — ozdobione dżetami podwiązki) i wyłowiła coś z żyrandola. Bezpiecznie zeszła na podłogę i wręczyła odzyskany przedmiot madame St Claire, która przestała ronić łzy tak szybko, jakby ktoś nagle zakręcił kran.

— To pani własność? — zapytała Phryne, gdy tymczasem Bobby wydał jęk i wrócił do pokoju karcianego.

— Do licha! Ależ to kawał dobrej detektywistycznej roboty! — entuzjazmował się pułkownik, gdy pozwolono Bobby'emu opuścić salę. — Ostra z pani młoda dama. Gratulacje! Czy zechciałaby pani może odwiedzić nas jutro w pewnej prywatnej sprawie? Niewykluczone, że jest pani osobą, jakiej poszukujemy, co daj Boże!

Pułkownik zdawał się zbyt silnie tkwić w małżeństwie, nie mówiąc już o wojskowych zaszczytach, żeby móc stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla cnoty Phryne, czy raczej tego, co z niej zostało, przyjęła więc zaproszenie. Pojawiła się zatem nazajutrz w Mandalay, wiejskiej rezydencji pułkownika, w porze, o której Anglicy zwykli pić herbatę.

— Panna Fisher! — powitała ją wylewnie pułkownikowa z natury niezbyt skłonna do wylewności. — Proszę, proszę do środka! Mąż mi mówił, jak sprytnie złapała pani tego młodego człowieka... Co do mnie, to nigdy mu nie ufałam, przypominał mi jednego z młodszych podoficerów z Pendżabu, którzy sprzeniewierzyli fundusze kantyny...

Wprowadzono Phryne do środka, a serdeczność powitalnego ceremoniału przeszła jej najśmielsze oczekiwania, dlatego natychmiast stała się podejrzliwa. Ostatni raz łąszono się do niej z taką uniżonością, kiedy pewna hrabiowska rodzina próbowała jej wcisnąć swojego synalka, koszmarnego bawidamka, tylko dlatego, że się z nim parę razy przespała. Gdy odmówiła wyjścia za niego za męża, scena przypominała wczesnowiktorjański melodramat. Phryne pomyślała, że staje się cyniczna.

Usiadła przy hebanowym stoliku, gdzie podano jej filiżankę naprawdę dobrej herbaty. Pokój dosłownie pękał w szwach od mosiężnych hinduskich bożków, rzeźbionych i inkrustowanych szkatulek i bogatych dywanów. Phryne z trudem oderwała wzrok od figurki hojnie wyposażonej przez naturę Kali, tańczącej na

trupach mężczyzn i trzymającej w czarnych dłoniach ich odcięte głowy, i próbowała się skupić.

— Chodzi o naszą córkę Lydię — zagaił pułkownik, od razu przechodząc do rzeczy. — Bardzo się o nią martwimy. Zadała się w Paryżu z dziwnym towarzystwem i zaczęła prowadzić dość beztroskie życie. Ale to dobra dziewczyna, z głową na karku i w ogóle, więc kiedy wyszła za mąż za tego Australijczyka, uznaliśmy, że nic lepszego nie mogła zrobić. Wyglądało na to, że jest szczęśliwa, gdy jednak odwiedziła nas w ubiegłym roku, zrobiła na nas wrażenie szokująco chudej i bladej. W dzisiejszych czasach wy, panie, lubujecie się w takim wyglądzie, nieprawdaż? Ale żeby dosłownie skóra i kości... To nie może być nic dobrego... hm... — Pułkownik stracił wątek, porażony czterdziestowoltowym spojrzeniem małżonki. — Hm, to znaczy po jakichś trzech tygodniach całkowicie odzyskała formę, na krótko wpadła potem do Paryża i do Melbourne wracała już zdrowa jak ryba. W domu jednak objawy choroby wróciły. I to jest w tym wszystkim najciekawsze, panno Fisher: pojechała do kurortu, gdzie odzyskała formę, ale gdy tylko wróciła do męża, znów pojawiła się choroba. Myślę, że...

— I ja się z nim zgadzam — wtrąciła pani Harper złowieszczo. — Dzieje się coś, z przeproszeniem, diabelnie dziwnego i dlatego potrzebna jest nam jakaś naprawdę odpowiedzialna dziewczyna, która by ustaliła, o co w tym wszystkim chodzi.

— Czy państwo podejrzewają, że mąż ją truje?

Pułkownik zawahał się, ale jego małżonka powiedziała spokojnie:

— A co by pani pomyślała na naszym miejscu?

Phryne musiała przyznać, że cykle choroby wyglądały dosyć dziwnie — nie miała jednak pojęcia, co z tym fantem zrobić. Miała dość siedzenia u rodziców i układania kwiatów. Próbowwała pracy społecznej, ale nędzna strawa, nędzne kobiety i problem głodu w Londynie zaczęły ją mierzwić, a towarzystwo Pań Dobroczyńnych zupełnie nie odpowiadało jej temperamentowi. Często myślała o powrocie do Australii, gdzie się urodziła w wielkiej biedzie, i oto nadarzał się wspaniały pretekst do tego, żeby decyzje dotyczące przyszłości odłożyć jeszcze na pół roku.

— Dobrze, jadę, ale na własny koszt i dam znać w stosownej chwili. W każdym razie proszę mnie nie ścigać ponaglającymi depeSZami, bo wszystko w ten sposób spalimy. Sama nawiążę kontakt z Lydią, a państwo nie wspominajcie o mnie w żadnych listach do córki. Zatrzymam się w hotelu Windsor. — Na samą myśl o tym Phryne przeszedł dreszcz. Ostatni raz widziała ten hotel pewnego zimnego dnia o świcie, kiedy przechodziła tamtędy z ładunkiem starych warzyw wyciągniętych ze śmietnika na Victoria Market. — Gdyby było coś naprawdę ważnego, to mnie tam państwo znajdą. Proszę mi podać obecne nazwisko Lydii i jej adres. Aha, i jeszcze jedno: co w razie śmierci państwa córki odziedzyczyłby jej mąż?

— Nazwisko naszej córki po mężu brzmi Andrews, a tu jest jej adres. Gdyby umarła przed nim, bezpotomnie, on odziedzyczyłby pięćdziesiąt tysięcy funtów.

— A czy Lydia ma dzieci?

— Jeszcze nie — odparł pułkownik i wyciągnął paczkę listów. — Może to panią zainteresuje. — Położył je przed nią na stoliku. — To są listy naszej córki. Jest bardzo bystrą osobką, jak się pani zapewne przekona, obrotną w sprawach finansowych, ale zakochaną po uszy w tym Andrewsie. — Pułkownik parsknął.

Phryne wzięła pierwszą z brzegu kopertę i zaczęła czytać.

Listy stanowiły ciekawą lekturę. Nie to, żeby posiadały jakąś szczególną wartość literacką, ale ich autorka jawiła się na ich podstawie jako dziwna mieszanina cech. Po rozprawie poświęconej akcjom ropy, jakiej nie powstydziliby się fachowy księgowy, popadała w tak cklive, tak nieznośnie przesłodzone tony, że Phryne z najwyższym trudem mogła to przełknąć. *Mój kocurek był bardzo surowy dla swojej myszki, bo wczoraj podczas prośzonej kolacji tańczyła z pewnym przystojnym kotem* — czytała Phryne z narastającym zniecierpliwieniem. — *Trzeba go było potem ze dwie godziny głaskać, żeby znów stał się moim kochanym kiciusiem.*

Brnęła dalej przez lekturę listów, podczas gdy gospodyni co chwilę napełniała jej filiżankę. Po godzinie Phryne dosłownie pławiła się w herbacie i cklwym sosie listów. Te wysyłane z Melbourne wyróżniały się płaczkliwym tonem.

Johnnie wychodzi do klubu i zostawia swoją biedną małą myszkę, która usycha z tęsknoty w

swojej norce... Byłam bardzo chora, ale Johnnie powiedział, że się przejadłam, i poszedł na kolację. Chodzą słuchy, że Peruvian Gold znów ma eksploatować swoją kopalnię. Nie lokujcie tam żadnych pieniędzy. Ich księgowy kupuje sobie drugi samochód... Mam nadzieję, że zastosowaliście się do mojej rady w sprawie nieruchomości Shallows. Ten teren przylega do kościoła z prawem przejazdu i dlatego nie można go pominąć. W ciągu dwudziestu lat jego wartość się podwoi. Część mojego kapitału przeniostałam do Lloyda, gdzie oprocentowanie jest wyższe o pół procent... Próbuję kąpieli i masaży u madame Bredy przy Russell Street. Jestem bardzo chora, ale Johnnie tylko się ze mnie śmieje.

Dziwne. Phryne zapisała sobie adres madame Bredy przy Russell Street i pożegnała gospodarzy, nie czekając na propozycję kolejnej herbaty.

Rozdział drugi

*W starym związku dnia i nocy
Albo na wyspie, samotni, wolni
Od bezkresnych wód nieodpartych.*

Niedzielny poranek — Wallace Stevens

Oparta o reling Phryne słuchała mew zwiastujących bliskość lądu i wypatrywała pierwszych oznak świtu. Miała na sobie dość krzykliwy szlafrok w orientalny zielono-złoty wzór, którego nagły widok mógłby spowodować u inwalidy czy osoby o słabym systemie nerwowym niepożądany wstrząs, cieszyła się więc, że jest na pokładzie sama i że nikogo tym nie zaskoczy. Była piąta rano.

Na horyzoncie pojawiła się leciutka poświata; Phryne czekała na zielonkawy błysk, którego nigdy dotychczas nie widziała. Zaczęła grzebać w kieszeni w poszukiwaniu papierosów, cygarniczki i zapalek. Zapaliła papierosa i wyrzuciła zapalstkę do wody. Krótki błysk przesłonił jej pole widzenia. Phryne zamrugła i przeciągnęła ręką po krótkiej czarnej czuprynie.

I co ja dalej będę robić? — zapytała sama siebie. — Jak do tej pory to wszystko było dość interesujące, ale

przecież nie przebaluję w ten sposób całego życia. Mogłabym ewentualnie próbować pobić rekord w zawodach lotniczych na nowym samolocie avro albo dołączyć do panny May Cunliffe i wziąć udział w jazdach testowych nowej lagondy, albo uczyć się abisyńskiego, albo pić gin, albo zająć się hodowlą koni... Nie mam pojęcia, to wszystko wydaje się takie beznadziejne.

No cóż, w Melbourne spróbuję być perfekcyjną panią detektyw — co zresztą nie będzie takie łatwe — i może w końcu coś mi się samo nasunie. Jeśli nie, to jeszcze zdążę na sezon narciarski, który ostatecznie może przynieść coś interesującego.

W tym momencie pojawił się pojedynczy jaskrawozielony błysk, po którym niebo zalały złoto i róż świtu. Phryne posłała słońcu buziaka i wróciła do kabiny.

. . .

W dalszym ciągu otulona w szlafrok, skubnęła kawałek cienkiego tostu i zaczęła się zastanawiać nad swoją garderobą, porozkładaną jak rzeczy na pikniku — na wszystkich wolnych miejscach. Nalała sobie filiżankę chińskiej herbaty i krytycznym okiem spojrzała na stroje.

Prognozy obiecywały miłą, łagodną pogodę i Phryne przez chwilę myślała o beżowym kostiumie z jedwabnej dzianiny od Chanel, potem zmieniła zdanie na rzecz dość śmiałego żakietu i spódnicy z jaskrawoczerwonej wełny, a ostatecznie zdecydowała się na wdzięczną marynarską sukienkę w kolorze granatowym z białą

lamówką i kołnierzykiem. Talia wypadła poniżej bioder, pozostawiając kilkanaście centymetrów plisowanej spódniczki, co było do strawienia nawet jak na prowincjonalne gusty Melbourne.

Szybko zaczęła się ubierać i już wkrótce miała na sobie marynarską sukienkę i jedwabne pończochy, ujęte podwiązkami nad kolanem, a na nogach granatowe skórzane pantofle na słupku. Przejrzała się w lustrze i bezceremonialnie przejechała grzebieniem po idealnie czarnych, idealnie prostych włosach, tworzących na jej głowie rodzaj lśniącej czapeczki, która pozostawiała kark i większość czoła odkryte. Następnie nałożyła miękki granatowy kapelusik i z wprawą wynikającą z długotrwałej praktyki pociągnęła ołówkiem brwi, a cienką czarną konturówką podkreśliła szarozielone oczy. Całości makijażu dopełniły odrobina różu i szczypta pudru.

Właśnie nalewała sobie ostatnią filiżankę herbaty, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Schowała się z powrotem w fałdy szlafroka.

— Proszę! — zawołała, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie kolejna wizyta pierwszego oficera, pałającego do niej desperacką namiętnością, która — Phryne nie miała co do tego wątpliwości — trwałaby całe dziesięć minut od chwili przybicia *Orientu* do portu. Jednak odpowiedź zza drzwi ją uspokoiła.

— Elizabeth — zapowiedział się gość, więc Phryne otworzyła drzwi i wpuściła doktor MacMillan, która usiadła na najlepszym krześle, jedynym niezajętym przez garderobę gospodyni. — Za trzy godziny przybijamy do portu, a przynajmniej tak mi powiedział

ten zmanierowany młody steward. Czy mogę liczyć na resztę tego tostów? Ta cholerna kobieta, pasażerka trzeciej klasy, dziś o trzeciej nad ranem urodziła dzieciaka. Dzieci mają to do siebie, że lubią się rodzić w nocy i najlepiej podczas burzy. Uważam, że mają w sobie coś z żywiołu.

Phryne przysunęła tacę, na której był talerz z jajkami na bekonie oraz znacznie więcej tostów, niż byłaby w stanie zjeść nawet po całodziennej głodówce, i z czułością spojrzała na gościa.

Doktor MacMillan miała co najmniej czterdzieści pięć lat i tak silną determinację, żeby pójść w ślady pierwszej angielskiej lekarki, doktor Garret Anderson, że nie starczało jej już czasu na nic innego. Była barczysta, silna jak robotnik, podobnie jak robotnik ogorzała i miała tak samo szorstkie, pełne odcisków dłonie. Szpakowate włosy nosiła krótko przycięte jak chłopcy z Eton. Dla wygody ubierała się po męsku, i to raczej w surowym stylu.

— Chodź, pójdziemy wypatrywać portu — zaproponowała.

Wyszły na pokład. Oparta o reling Phryne w marynarskiej sukience patrzyła, jak wyłania się Melbourne, jak statek przepływa między skrawkami lądu, by w pewnym momencie zmienić kurs, znaleźć ujście rzeki i wpłynąć do portu.

Miasto było już teraz całkiem dobrze widoczne: na rezydencji gubernatora powiewała flaga świadcząca o tym, że gubernator jest w domu. Melbourne wydało się Phryne znacznie większe od tego, które zapamiętała z dzieciństwa, choć trzeba przyznać, że kiedy je

opuszczała, stojąc na pokładzie statku, uczepiona relingu, widziała naprawdę niewiele. Doktor MacMillan wyrzuciła do wody cuchnący niedopałek cygara.

— Wygląda na duże piękne miasto, solidnie zbudowane, kamienne mury i kościoły.

— A czego się spodziewałaś? Słomy i gliny? Ci ludzie to nie dzikusy, Elizabeth! Melbourne przypomina Edynburg. Może jest trochę cichsze.

— Tak, to będzie miła odmiana — zgodziła się doktor MacMillan. — Jak twoje kufry, spakowane?

Phryne uśmiechnęła się na myśl o trzech kufrach podróżnych, dwóch walizkach, torbie na zakupy i torebce, które miała w kabinie, a także o siedmiu wielkich kufrach płynących w ładowni, niewątpliwie pod stadem owiec. W bagażu Phryne znajdowała się też niebezpieczna kontrabanda w postaci małego damskiego pistoletu i pudełka nabojów do niego, a także pewnych środków doktora Stopesa, ukrytych w bieliznie pod napoczętą paczką niezbędnika podróżnego dla pań, która miała skutecznie zniechęcać zbyt gorliwych celników.

W miłej atmosferze, mając wiatr w plecy, kobiety obserwowały zbliżające się miasto. Z małego przewodnika znalezionego w kabinie Phryne dowiedziała się, że Melbourne jest miastem nowoczesnym, w większości skanalizowanym, z bieżącą wodą i częściowo z elektrycznością. Istniał też transport publiczny w postaci pociągów i tramwajów. Kwitł przemysł, samochody osobowe, ciężarówki i motocykle przewyższały liczebnością pojazdy konne w stosunku

trzydziestu do jednego, a większość ulic była utwardzona tłuczniem. Poza tym miasto szczyciło się uniwersytetem, kilkoma szpitalami, boiskiem do krykieta, Klubem Ateneum i Arkadami Królewskimi. Przyjezdnych zachęcano do oglądania wyścigów konnych we Flemmington i meczów futbolowych. (Ku swojemu zdziwieniu Phryne wyczytała w przewodniku, że dzielnica Collingwood w ubiegłym roku wygrała.) Panie z pewnością znajdą przyjemność w buszowaniu po Block Arcade, głównej atrakcji handlowej miasta, a także z uznaniem przyjmą interesujący dodatek amerykańskiego architekta Waltera Burleya Griffina do Collins House. Pasażerom pierwszej klasy poleca się hotele Menzies, Scott's i Windsor. Phryne zastanawiała się, gdzie mieliby się zatrzymywać pasażerowie klasy trzeciej.

— Pewnie w Elevator House — mruknęła pod nosem. — Na Armię Zbawienia zawsze można liczyć.

— Co takiego? Aha, tak, to wspaniali ludzie — zgodziła się doktor MacMillan machinalnie, a Phryne dopiero teraz zorientowała się, że musiała to powiedzieć głośno. Gdyby miała skłonność do rumieńców, z pewnością by się zaczerwieniła.

Kontrola celna nie wymagała od niej tyle czaru osobistego, ile na ten cel przeznaczyła, więc w ciągu godziny wraz z piramidą bagażu znalazła się na ulicy i czekała na taksówkę. Doktor MacMillan, która podróżowała tylko z jednym sakwożazem z ubraniami i skrzynką książek energicznie pomachała ręką, zatrzymując taksówkę, która gwałtownie przed nimi zahamowała.

Szofer wysiadł, objął spojrzeniem stertę walizek i zauważył lakonicznie:

— Potrzebna będzie druga taksówka. — Po czym zawołał przez ulicę do kolegi, niejakiego Ceca, spokojnie podpierającego ścianę. Cec zniknął z szybkością zaskakującą przy jego aparycji i po chwili pojawił się w rozklekotanej półciężarówce, która musiała kiedyś należeć do właściciela sklepu spożywczego. Jej obłażące z lakieru boki w dalszym ciągu zachwalały jabłka Cox's Orange Pippin.

A więc to są miejscowi — pomyślała Phryne. Cec, wysoki, chudy młody blondyn o piwnych oczach, wydawał się uparcie małomówny. Drugi kierowca, imieniem Bert, był niski, ciemny i starszy. Obaj byli wybitnie atrakcyjni. — To się chyba nazywa „wigor mieszańców”.

— Ładujcie — zarządził Bert i trzech bagażowych zgłosiło się na zawołanie. Phryne ze zdumieniem zauważyła, że ręcznej roboty skręt błyskawicznie zniknął z jego dolnej wargi. Hojnie obdarowała wszystkich napiwkami i zajęła miejsce w taksówce. Ruszyli z ostrym szarpnięciem i skierowali się w stronę Melbourne.

Był pogodny, ciepły jesienny dzień. Phryne zdjęła płaszcz z mory i zapaliła papierosa. Taksówka tymczasem opuściła teren nabrzeża i wśród tumanów spalin z rykiem silnika brała zakręty przerażającą szybkością — jeden po drugim.

Kierowca, Bert, przyglądał się Phryne z tym samym beznamietnym zainteresowaniem co ona jemu, jednocześnie obserwując ruch uliczny i podążając za

nim półciężarówkę prowadzoną przez Ceca. Phryne zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy swój drogocenny bagaż.

— Dokąd jedziemy najpierw?! — wrzasnął Bert, a ona odpowiedziała mu, przekrzykując warkot silnika.

— Najpierw do Queen Victoria Hospital, potem do hotelu Windsor, ale nie ma powodu się tak spieszyć.

— Panie pielęgniarki, tak? — zainteresował się Bert. Doktor MacMillan robiła wrażenie zrezygnowanej.

— Nie, to jest doktor MacMillan ze Szkocji, a ja przyjechałam turystycznie.

— Pani zatrzymuje się w hotelu Windsor? — zapytał Bert, wyjmując zwisającego z ust papierosa i wyrzucając go przez rozdygotane okno taksówki. — Wyższe sfery, tak? Przyjdzie czas, że człowiek pracy powstanie przeciwko wyzyskiwaczom i zerwie okowy kapitalizmu, i...

— ...i wtedy już nie będzie żadnego hotelu Windsor — dokończyła za niego Phryne.

Wydawał się urażony. Puścił kierownicę i odwrócił się do młodej kapitalistki, żeby jej dać nauczkę.

— Nie, pani nic nie rozumie — zaczął, gwałtownym szarpnięciem kierownicy ratując ich przed niechybną śmiercią w zderzeniu z półciężarówką. — Jak wybuchnie rewolucja, to my będziemy mieszkali w hotelu Windsor.

— Dobra myśl — zgodziła się z nim Phryne.

— Napatrzyłam się na to podczas wojny — parsknęła doktor MacMillan. — Rewolucje to krew i mordy. Niewinni ludzie tracą dach nad głową.

— Wojna — odparł sentencjonalnie kierowca — to spisek kapitalistów: chcą zmusić robotników, żeby walczyli za nich pod hasłami bezpieczeństwa ekonomicznego. Do tego właśnie służą wojny — zakończył.

— Czy Cec w dalszym ciągu jedzie za nami? — zapytała Phryne w nadziei, że uda jej się odwrócić uwagę tego zagorzałego komunisty od niewygodnego tematu.

— Tak, jedzie. To dobry kierowca — zapewnił ją. — Choć nie tak dobry jak ja.

Miasto umykało za samochodem, nieostre w chmurze spalin i kurzu wzbudzonej przez dawną półciężarówkę kupca spożywczego. Nagle zatrzymali się przed dość niepozornymi drzwiami. Kiedy chmura pyłu opadła, Phryne zobaczyła napis nad głównym wejściem i zrozumiała, że nadeszła chwila rozstania z Elizabeth MacMillan. Poczowała nieoczekiwane ukłucie w sercu, ale szybko się opanowała. Doktor ucałowała ją w policzek, wzięła swój sakwojaż i płaszcz, a Cec wystawił na chodnik jej pudło z książkami, nie narażając na utratę życia zbyt wielu przechodniów. Elizabeth pomachała Phryne, kierowca zmusił niechętny silnik do pracy i, o włos unikając zderzenia z dzwoniącym ostro tramwajem, śmignął w Collins Street. Tam łukiem ominął kierującego ruchem policjanta i z jękiem silnika ruszył pod górę. Po drodze minęli budynek Towarzystwa Teozoficznego, teatr, dwa kościoły, kilka dość uroczych pracowni krawieckich i setki mosiężnych tabliczek, aż wreszcie Phryne dostrzegła prosto przed nimi imponujący szary

gmach. Przeżyła chwilę lęku, że kierowca zatrzyma swojego rumaka dopiero na majestatycznych stopniach budynku.

Ale jej obawy okazały się nieuzasadnione. Bert nie po raz pierwszy odbywał ten kurs. Zatoczył z fasonem łuk i z uśmiechem zatrzymał się przed surowym portalem hotelu. Portier, w najmniejszym stopniu niespieszony widokiem egzotycznego wehikułu, wyszedł mu naprzeciw z godnością i otworzył drzwi wiszące na jedynym zawiasie. Phryne ujęła jego pomocną dłoń w rękawicze, wysiadła, wygładziła ubranie i sięgnęła po torebkę.

Kierowca wysiadł i z miłym uśmiechem wręczył jej płaszcz. Miał przyklepionego do wargi nowego papierosa.

— Dziękuję bardzo za interesującą jazdę — powiedziała Phryne. — Ile jestem winna panu i... mmm... Cecowi?

— Myślę, że pięć szylingów to będzie akurat. — Bert uśmiechnął się, unikając wzroku portiera.

Phryne otworzyła torebkę.

— A ja myślę, że akurat to będą dwa szylingi i sześć centów — powiedziała bez owijania w bawełnę.

— I szylinga dla Ceca — próbował się targować Bert. Phryne wręczyła mu dodatkowego szylinga. Cec, niezdarne olbrzym, z większą krzepą, niż można się było spodziewać po jego chudej postaci, wyniósł kufry oraz pudła i powierzył je opiece niewielkiej armii boyów hotelowych w liberiach. Po czym z pożegnальnym okrzykiem i w tumanach kurzu obaj mężczyźni zniknęli.

— Jestem Phryne Fisher — poinformowała portiera.
— Robiłam rezerwację w Londynie.

— Ach, tak, witamy — odparł portier. — Zapewne przyплыnęła pani dziś rano *Oriente*m. Zaraz podamy herbatę. Proszę tędy.

Phryne poddała się spokojnej, wykwiintnej atmosferze dobrze zarządzanego hotelu Windsor.

Wykąpana, przebrana i głodna zeszła do restauracji na lunch. W bawełnianej kremowej sukni i w słomkowym kapeluszu przewiązany jedwabnym szalem w kolorach zielonym, cytrynowym i morskim wyglądała niepokojąco modnie. Wybrała stolik pod grupą marmurowych kupidynów i z karty, którą podała jej schludnie wyglądająca dziewczyna w czarnym stroju, wybrała rosół i zestaw zimnych przekąsaek, po czym oddała się obserwowaniu gości.

Kobiety — niektóre całkiem ładne — robiły na ogół wrażenie dobrze ubranych, choć niekoniecznie nadażały za modą. Mężczyźni, w większości w sztuczkowych lub, rzadziej, gładkich ciemnych garniturach byli zapewne adwokatami lub dyrektorami banków. Grupka urodziwych młodych kobiet z grubą warstwą makijażu, w szerokich flanelowych spodniach i sportowych żakietach albo w luźnych sukienkach z frędzlami zdecydowanie ożywiała atmosferę. Pewna aktorka, umalowana szminką teatralną, miała na sobie coś w rodzaju piżamy w złotym kolorze, na głowie turban, a na palcach liczne pierścienie. U jej stóp siedziała młoda pantera na mocnym łańcuchu. W hotelu Windsor dla wszystkich było miejsce.

Rosół smakował wspaniale; Phryne spałaszowała go

ze smakiem, po nim zimne przekąski i to wszystko popiła trzema filiżankami herbaty, a następnie wróciła do swojego pokoju na odpoczynek. Szybko zapadła w sen, z którego obudził ją dopiero gong na kolację.

Gdy spała, jej garderobę rozpakowano, uprasowano i powieszono w masywnej drewnianej szafie. Pokój był zaaranżowany ze smakiem, ale bez ostentacji, choć Phryne wolałaby mniej agresywny róż abażurów i mniej figurek nimf. Do nimf pozostał jej pewien uraz. Ojciec wybrał dla niej imię Psyche. Niestety, podczas chrztu był z lekka niedysponowany, a to z winy długiego wieczoru, który spędził poprzedniego dnia w klubie. Zapytany na chrzcie o imię córki, długo szukał w pamięci wśród smętnych resztek klasycznej edukacji, jaką odebrał, ale znalazł... tylko Phryne. Zamiast więc na cześć nimfy być Psyche, została Phryne na cześć kurtyzany.

W wyniku przeprowadzonych studiów Phryne znalazła jednak pocieszenie. Okazało się bowiem, że kurtyzana o tym imieniu musiała być młodą osobą z charakterem. Gdy jej sprawa w sądzie przybrała zły obrót, obrońca zerwał z niej przód sukni, ukazując piękne piersi swojej klientki. Sąd, pod wrażeniem takiej doskonałości, uniewinnił dziewczynę. Phryne, która zgromadziła spore zasoby grzesznie zdobytego złota, wyraziła gotowość odbudowania murów Teb pod warunkiem umieszczenia na nich następującej inskrypcji: „Mury Teb: zrujnowane przez czas, odbudowane przez Phryne, kurtyzanę”. Jednak stateczni obywatele Teb woleli swoje ruiny.

I dobrze im tak — pomyślała Phryne Fisher,

zakładając jedwabną bieliznę i sukienkę od Patou w pawim kolorze. — Mam nadzieję, że podbili ich Rzymianie. Zaraz, czy lepsze będą do tego szafiry, czy emalia?

A może długie migotliwe kolczyki pulsujące niebieskim ogniem? Wpięła je w uszy, szybko zrobiła makijaż, energicznie przeczesła włosy i wplotła wstążkę w lśniące kosmyki. Wzięła pelerynę w morskim odcieniu oraz torebkę i zeszła na kolację.

Na początek pokrzepiła się koktajlem i wspaniałym homarem w majonezie. Uwielbiała homara w majonezie, z ogórkami.

Wieczór był piękny, ale nikt z gości nie wyglądał jakoś szczególnie interesująco, może poza przebywającym w dużym towarzystwie rozbawionym dżentelmenem, który od czasu do czasu uśmiechał się do niej miło, najwyraźniej urzeczony jej suknią. Był jednak zajęty, a Phryne potrzebowała czasu do zastanowienia. Upewniła się, że mimo soboty Block Arcade jest jeszcze otwarte, i wróciła do siebie, żeby się przebrać w spodnie, jedwabny pulower, solidne pantofle i miękki filcowy kapelusz. Wyglądała w tym dostatecznie bezpłciowo, by nie zwracać na siebie uwagi snujących się po mieście młodych mężczyzn; gdyby chciała, i tak potrafiła zaznaczyć swoją kobiecość.

A że potrzebowała namysłu i spaceru, ubrała się w ten niezwracający uwagi strój i wyszła w ciepły mrok.

Po drodze z łomotem i hukiem mijają ją tramwaje; miasto pachniało jesiennymi liśćmi, dymem i kurzem. Phryne szła przed siebie, tak jak jej pokazał portier,

prosto Collins Street. Na wypadek chłodu założyła kurtkę żeglarską z kontrafałdą i kieszeniami, które zastąpiły jej torebkę, miała więc jak nigdy wolne ręce. Stateczne budynki Collins Street zdołał las mosiężnych tabliczek. Przypominały jej Harley Street i Londyn, chociaż tłumy wydawały się tu hałaśliwsze, tyle że czystsze, i było mniej żebraków. Phryne czuła chrzęst suchych liści pod stopami.

Minęła kościół prezbiteriański, plebanię, kościół baptystyczny i zatrzymała się po przeciwnej stronie ulicy, by popatrzeć na Regent Theatre, masywną bryłę udekorowaną do granic wytrzymałości betonu. Było to coś tak bezwstydnie wulgarnego, że aż wzbudziło uznanie Phryne.

Minęła ją właśnie, przepychając się, gromadka robotnic z fabryki — stadko rozświergotanych papużek: jedwabne pończochy, pióra, jaskrawe czerwone, niebieskie i zielone sukienki, a do tego gruba tapeta produktów pana Colesa. Phryne podjęła marsz i równym krokiem szła dalej podcieniami ratusza niesiona falą przechodniów na drugą stronę Swanston Street.